

Duet Wiktora Rubina i Jolanty Janiczak to ciekawy fenomen polskiej sceny. Ta para reżysersko-dramaturgiczna produkuje w teatrach repertuarowych spektakle, w których ładunek ideowy z założenia dominuje nad estetyką, zasłaniając mielizny reżyserii Rubina i pretensjonalny, najeżony napuszonymi sentencjami scenariusz Janiczak. Cuda te skrywają się pod kostiumem historycznym, bo pod pretekstem gawędy historycznej można opowiadać wszystko i o wszystkim, co brzmi poważnie oraz dobrze się sprzedaje, szczególnie na teatralnych festiwalach.

Nie inaczej było tym razem w Gnieźnie, w Teatrze im. Fredry. Fabułę spektaklu „Mrowisko: z życia dobrej służącej” da się krótko streścić: służąca, prosta wiejska dziewczyna, trafia do domu zamieszkanego przez dziwną galerię libertyńskich zwyrodnialców. Wykorzystana przez syna właścicieli zachodzi w ciążę i po porodzie, zdesperowana, porzuca noworodka w lesie. Złapana przez policję, staje przed sądem. Scenariusz uzupełniają wypisy z kilku książek poświęconych pracy służących w XIX i XX w., rozpisane na głosy i postaci. Mamy więc narratora-śledczego (Michał Karczewski), przewidywalnego i nudnego. Bo jaki ma być, skoro jako pars pro toto reprezentuje cały światowy patriarchat? Mamy też rolę główną, służącą Zofię Stefaniak. Karolina Staniec z zaangażowaniem wciela się w tę postać i przy okazji, jak każe scenariusz, daje przypisy, w których „siebie wyjaśnia”. Bywa przekonująca, wiarygodna. Ale z tą wiarygodnością zwycięża monotony, wypowiedziany w gadatliwym meta-komentarzu patos. Staniec jest tu jednym, prostym, krzyczącym znakiem – jedna zamiast milionów bezimiennych. Jest oskarżeniem, unieruchomiona, w posagowej, patetycznej pozie. Do tego wszystkiego Janiczak



Grzegorz Kondrasiuk

Meldowanie widowni, że świat jest od stuleci źle urządzony, to mało odkrywczym zajęciem. „Mrowisko: z życia dobrej służącej” da się krótko streścić: służąca, prosta wiejska dziewczyna, trafia do domu zamieszkanego przez dziwną galerię libertyńskich zwyrodnialców

nieustannie próbuje eseizować, nie biorąc pod uwagę faktu, że esej jest bardzo wymagającą i skrajnie nieteatralną formą. W rezultacie ze sceny wylewają się potoki jakiegoś dziwnego języka, napuszony, pretensjonalny zlepek inteligenckich dywagacji, kserówek z lektur filozoficznych i socjologicznych, podlanych mętłą, pełną oczywistości poezją. Daje to efekt niezamierzonego komizmu, kiedy służąca odzywa się – pomiędzy wypowiedziami w języku prostego człowieka – tymi słowami: „Uczę się nowej choreografii”, „państwa potrzeby wyznaczyły mi mapę, plan, pejzaż zarówno wewnętrzny, jak i zewnętrzny”, „czekam na dyspozycję, niech się mój czas fizycznie wypełnia”.

Meldowanie widowni, że świat jest od stuleci źle urządzony, to mało odkrywczym zajęciem. Nie zauważa się tego, jeśli meldowanie takie odbywa się w kunsztownym języku albo w niepodobnej do innych metaforze teatralnej. Jest banalne i nużące, kiedy robi

się to w manierze weryzmu skatologicznego, przeplataną tanią ironią, splezłą kopią z Brechta (piosenki), z elementami performance'u cielesnego (obowiązkowa nagość). Jest nużące, kiedy ci, którym przydzielono rolę złych i zepsutych, od początku do końca grają to samo i tak samo, na jednej nucie, w jednym ostrym kolorze emocjonalnym. Źli i zepsuci bogaci właściciele są od początku do końca źli i zepsuci, co przedstawiają repertuarem tych samych min, przegięć, wyuzdanych spojrzeń i gestów, władczych póz albo pełnego hipokryzji uśmiechu. Nie ma się co dziwić tej ubożźnie środków, jest to profesjonalna robota zespołu idąca za scenariuszem i reżyserią – ponieważ każda scena, od początku do końca, jest o tym samym. Pozostają pytania do reżysera i scenarzystki. Dlaczego Ludwiczek – sprawca ciąży – jest grany przez kobietę i jest to jedyna podmiana płciowa w obsadzie? Za śmierć noworodków (z przywoła-

niem statystyk) oskarża się tu en bloc cały system społeczny kultury mieszczańskiej opartej na katolickim fundamencie światopoglądu i religii (parodie godzinek, teksty w stylu: „Jak ma przestać być tak upokorzona, jak tylko Ewangelia mogła wymyślić?”). Tymczasem oprawcy w kostiumach (tak jak scenografia kiczowatych, przerysowanych, tautologicznych, a przecież camp też może, a nawet powinien być żartobliwy i wyrafinowany), w wypowiedziach i sposobie zachowania scharakteryzowani są na XVII-wiecznych libertynów. Dlaczego? I tak dalej...

W końcowej sekwencji z góry zjeżdża (na dwóch linkach, kiwając się na boki) wielki obiekt, aby po długich, przykrych sekundach krzywo wylądować w centrum sceny, niczym statek UFO na glamrockowym koncercie. Ma to być tytułowe mrowisko, w które Zofia wrzuciła noworodka, ale przypomina bardziej kupę liści albo siana... Przez cały spektakl obiekt dominował nad sceną, przyciągał wzrok, niepokoił, dręczył... Teraz gramoli się nań facet, ubrany zdaje się wyłącznie w pampersa. Czyżby ten spektakularny finał miał być nagrodą za dotrwanie do końca? ©©

JOLANTA JANICZAK
„MROWISKO: Z ŻYCIA DOBREJ SŁUŻĄCEJ”
REŻ. WIKTOR RUBIN
TEATR IM. ALEKSANDRA FREDRY
W GNIEŹNIE